

Stanisław Mikke

Korepetycja u Europejczyka

Palestra 41/9-10(477-478), 79-81

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



STANISŁAW MIKKE

Korepetycja u Europejczyka

W 1996 roku prestiżową literacką Nagrodę Kościelskich otrzymał krakowski poeta Marcin Świetlicki. Jako że wyróżniani tą nagrodą byli znakomici twórcy, z zainteresowaniem sięgnąłem do wywiadu z nim, jaki ukazał się w jednym z wakacyjnych numerów *Życia*. Któreś z kolejnych pytań poprzedzone było informacją, że na płycie zespołu „Świetliki” pt. „Cacy cacy Fleischmaschine” (poeta pracując w *Tygodniku Powszechnym* jako korektor jest także autorem tekstów i wokalistą „Świetlików”) pojawił się tekst: „Kto ty jesteś – Polak mały. Jaki znak twój: – Skorpion”. Dziennikarka zapytuje zatem poetę, czy swojego kilkuletniego syna nauczy wersji oryginalnej, czy „Świetlików”?

Nie jest to do końca przypadek – odpowiada laureat nagrody przyznawanej

przez fundację, której siedzibą jest Genewa – *gdyż Maciek urodził się pod znakiem Skorpiona. Nie będę go uczył tej pierwotnej wersji. Maciowi przekazuję te rzeczy, które mam w sobie, a tego akurat nie mam.*

Nie, nie wpadłem w osłupienie, nie załamałem rąk nad upadkiem wszechrzeczy. Wszak wywiad, choć dotyczył tematów serio, ukazał się pod tytułem, będącym cytatem jednej z zawartych w nim wypowiedzi. *Jestem błaznem od początku do końca.* Można rzec: w porządku, wesołkowi, który nawet usiłuje przymierzać pelerynę wielkiego artysty, wręcz należy się stosowna pobłażliwość. I pozostaje tylko zastanowić się, kiedy syn Maciek rozpozna w ojcu trefnisią, i co z tego dla nich obu wówczas wyniknie.

Rozmowę z poetą przeczytałem podczas wypoczynku nad polskim, wyjątkowo tego lata pogodnym, morzem. Jako że nie przepadam za prażeniem się na słońcu, włączyłem się po małej rybackiej mieścinie przeżywającej swoje pecuniogenne tygodnie. Zajrzałem i do salonu gier najrozmaitszych. Na ogromnych rozmiarów ekranie rozgrywała się akcja jakiegoś, chyba gangsterskiego filmu. Może dziesięcioletni chłopak celował ze specjalnego pistoletu. Naciskał spust, gdy na ekranie wychylała się z załłka lub z okna jakaś postać. Jeśli dobrze wymierzył i z odpowiednim refleksem zareagował, człowiek padał. Jeżeli wycełował nieprecyzyjnie albo zbyt późno „strzelił”, akcja toczyła się dalej z udziałem tego bohatera. Więc dalej do niego celował. Pod ekranem ukazywała się punktacja śmiertelnych trafień. Chętni do zabijania na niby, zaopatrzeni w żeton odpowiedniej wartości czekali niecierpliwie. Pilnujący interesu stary, krótkowzroczny mężczyzna obdarzył mnie znudzonym spojrzeniem. Postanowiłem jednak popatrzeć na morze. Przy wejściu na plażę odbywały się otrzęsiny, czyli kolonijny chrzest. Dziewczyny malowały nowicjuszom twarze kolorowymi mazakami. A później dobrze wyrośnięci chłopcy – koloniści z twarzami pomazanymi na czarno – okładali nowo przybyłych różgami. Kilka metrów dalej stał inny chłopak, który trzaskał wiosłem w ich pośladki. Zaraz potem dwóch, naprawdę trudno tu o inne określenie, wyrostków biło wszystkich nowych pasami, przykładając się zwłaszcza do lepiej rozwiniętych dziewcząt.

To bicie też było na niby, ale nie obywało się bez czerwonych pręg na ciele i płaczów, nie mówiąc już o prze-

kleństwach z żulowskiego repertuaru. Wszystkiemu temu przyglądały się bezmyślnie rozbawione wychowawczynie.

Pozostało pograć się w lekturze. W *Rzeczpospolitej* natknąłem się na krótką informację, że w ostatnim czasie, w San Francisco, dwudziestometrowy krzyż wzniesiony w latach trzydziestych tego stulecia na wzgórzu Mount Davidson został wystawiony na sprzedaż wskutek orzeczenia sądowego. Oto bowiem na wniosek pewnej, zrzeszonej grupy etnicznej oraz organizacji propagującej rozdział Kościoła od państwa, sąd nakazał gminie San Francisco, będącej właścicielem krzyża i działki pod nim, rozebranie krzyża lub jego sprzedaż. Mimo licznych protestów mieszkańców argumentujących, że krzyż-pomnik stanowi trwały element wizerunku miasta, federalny sąd apelacyjny utrzymał orzeczenie w mocy. Radni miasta nie zdecydowali się wpisać krzyża w rejestr zabytków i postanowili go sprzedać. Przetarg wygrało Stowarzyszenie Ormian nabywając krzyż i działkę na własność za jakąś – jak na tamtejsze stosunki – śmiesznie niską cenę.

To prasowe doniesienie wywołało z pamięci niezbyt odległe w czasie wydarzenie podczas sympozjum poświęconego prawom człowieka, jakie odbywało się na jednym z naszych uniwersytetów. Uczestniczył w nim przedstawiciel Rady Europy, pełniący tam wówczas znaczącą, a dziś wręcz strategiczną funkcję. Podczas przerwy w obradach staliśmy w zabytkowej auli w towarzystwie dwóch młodych, pięknych i wykształconych w prawie kobiet. I jedna z nich, wskazując na niewielkich rozmiarów krzyż, wiążący nad drzwiami wyraziła ubolewanie z powodu tak rażącego braku tolerancji.

„Powinniśmy się tego, jako naród, wstydzić” – uzupełniła jej koleżanka chcąc najwyraźniej zaimponować światowym już wyrobieniem.

Gość ze Strasburga, człowiek o biografii na tyle skomplikowanej, że trudno o nim mówić inaczej niż jak o Europejczyku, zdumiał się. I chociaż bez wątpienia pozostawał pod urokiem naszych rodaczek, zareagował stanowczo. I stwierdził, że o jakiegokolwiek nietolerancji w tym wypadku

mowy być nie może, a w symbolu chrześcijaństwa znajdującym się w miejscu publicznym w kraju chrześcijańskim nie widzi nic zdrożnego. Wręcz odwrotnie – dodał – to stan normalny w wolnym państwie.

Przypominając sobie ów niemiły – sądząc po reakcjach – dla pięknych pań incydent pomyślałem, że być może i poecie Świetlickiemu z zespołu „Świetliki” przydałaby się krótka korepetycja u tego Europejczyka.